Trzeba zjeść tę smażoną żabę. Znana pisarka o fantazjach Kaczyńskiego o rodzeniu zdeformowanych dzieci i dławieniu kultury przez Orbana

KULTURA 23.10.2016, 14:56

Magda Piekarska, tłumaczenie Anna Butrym

Andrea Tompa (Fot. Zoltan Szarka)

ABORCJA
KSIĄŻKI
KULTURA
RUMUNIA
WĘGRY

Widziałam, jak w Rumunii za rządów Ceausescu funkcjonowało okrutne antyaborcyjne prawo i jak straszne były jego konsekwencje. Byłam nastolatką i bałam się miłości, bo nie wiedziałam, jaką cenę za nią zapłacę.

Rozmowa z Andreą Tompą, pisarką węgierską

Magda Piekarska: W „Domu kata" opisuje pani dorastanie w czasach komunistycznej dyktatury. Jej elementem jest dekret 770 Ceausescu wprowadzający drastyczne kary za dokonanie aborcji. Widmo tej opresji wraca dziś w Polsce. Czy spodziewała się pani, że to może zabrzmieć aktualnie?

REKLAMA

Andrea Tompa: Nigdy w życiu! Jestem tym zszokowana. Widziałam, jak to prawo funkcjonowało i jak straszne były jego konsekwencje. Widziałam jego ofiary. Wiem, co to prawo wyczyniało z kobiecym ciałem, jak je niszczyło i jakim strachem nas napełniało.

REKLAMA

Mam wrażenie, że władza zarówno wtedy, jak i dziś, nie jest zainteresowana tym, żeby wychowywać ludzi odpowiedzialnych za swoje czyny. Politykom zależy, żebyśmy pozostali małymi dziećmi i realizowali ich decyzje. To wtłaczanie w niedojrzałość, nieświadomość, jest miernikiem każdego złego systemu. Rozwijać w dzieciach odpowiedzialność powinni rodzice i nauczyciele - od nich zależy wiele, jeśli chodzi o wychowanie seksualne, świadomość własnego ciała. Ale i szkoła, i dom to zaniedbują. Efektem jest powrót do XIX wieku. Próba zaostrzenia prawa antyaborcyjnego będzie miała straszne konsekwencje. Nie tylko dla kobiet.

W niedzielę i poniedziałek kobiety w Polsce po raz kolejny wychodzą na ulice, żeby protestować w tej sprawie. Co bym im pani powiedziała?

- Czasem musimy mówić i słyszeć naiwne prawdy - musicie wierzyć, że sprawiedliwość i prawda są z wami. Bo będziecie stawiać opór tak długo, jak długo będziecie miały w sobie tę wiarę. A właściwie: mieli, bo to jest przecież sprawa nas wszystkich, kobiet i mężczyzn. Każdy jest czyimś dzieckiem. I zamach na prawa kobiet dotyczy każdego, niezależnie od płci, wieku, rodzinnych ambicji.

4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni - TR...
Do obejrze...
Udostępnij
Obejrzyj w YouTube

Dekret - jego celem był wzrost populacji Rumunii, który miał dźwignąć gospodarkę - zaczął obowiązywać w 1966 roku, siostra przyszła na świat w 1968 roku, ja - w 1971. Wierzę, że rodzice chcieli, żebyśmy pojawiły się na świecie, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, w jakim świecie żyli. Dla dziecka dobrze jest, kiedy wie, że rodzice cieszyli się z jego narodzin. Nie, że cieszył się premier czy księża, ale właśnie oni. Każdy chce być dzieckiem miłości. Być dzieckiem z prawnego dekretu to zły start do życia.

W Polsce szef rządzącej partii powiedział niedawno: „Chcemy, żeby kobiety rodziły, nawet jeśli dziecko jest mocno zdeformowane. By zostało ochrzczone".

REKLAMA

- Przepraszam, ale musiałam dwa razy upewnić się u tłumaczki, czy dobrze zrozumiałam. To tak przerażające, że włosy stają dęba na głowie. Sama jestem matką adopcyjną, nie rodziłam i raczej rodzić nie będę. Można powiedzieć, że zyskałam w sytuacji, w której inna kobieta urodziła niechciane dziecko - nie mogłam mieć dziecka, a dziś jestem szczęśliwą matką. Uważam jednak, że normalną sytuacją jest, gdy dzieci dorastają w swoich rodzinach. A okrutne prawo sprawi, że wiele z nich trafi pod opiekę państwa. To dla nikogo nie będzie dobre.

Matka w pani książce mówi, że jeśli urodzi jej się syn, zostawi go w szpitalu. „Mnie syna nie potrzeba!" - woła.

- Kobieta, która nienawidzi mężczyzn, nie chce urodzić syna, bo doświadczyła ucisku. Jest przekonana, że mężczyzna będzie ją kontrolował, że przejmie nad nią władzę, że będzie musiała mu usługiwać. Panuje stereotyp, że dziewczynki łatwiej wychować niż chłopców. O tym, jak mocno jest ugruntowany, przekonałam się uczestnicząc w procesie adopcyjnym - większość rodziców adopcyjnych wolała przyjąć do rodziny dziewczynkę niż chłopca. I może taki stereotyp siedział w głowie mojej matki.

Pani ma córkę czy syna?

- Syna. Lubię wyzwania.

Spóźniła się pani. Kilka dni temu mieliśmy demonstrację na widowni Teatru Polskiego we Wrocławiu. Publiczność po raz kolejny oprotestowała zmianę dyrekcji.

- Gdybym tu była wcześniej, okazałabym solidarność z publicznością. Tym chętniej, że bywałam wielokrotnie w Teatrze Polskim. A Krzysztofa Mieszkowskiego, poprzedniego dyrektora, znam jeszcze z czasów, kiedy był krytykiem teatralnym. Na Węgrzech też były protesty, cztery-pięć lat temu. Np. w 2012 roku, kiedy w budapesztańskim Teatrze Narodowym zmieniono dyrekcję. Dziś, kiedy instytucje kultury zostały już przejęte przez władze, opór wygasł. Mamy ten etap za sobą. Ostatnio wybrano na dyrektora jednego z teatrów osobę ze skrajnej prawicy. Nikt nie protestował.

Kultura przestała być polem walki?

- Państwo węgierskie stworzyło wielkie scentralizowane centra kultury, które łatwo poddają się kontroli. Kierują nimi ludzie, którzy popierają rząd. Artystyczną jakość zachowały mniejsze ośrodki, które dla przeciętnego odbiorcy nie mają większego znaczenia. To sprawia, że zmiany w kulturze nie poruszają już społeczeństwa. Środowisko uległo rozproszeniu. Nie ma organizacji, które reprezentowałyby artystów, stawałyby w ich obronie.

REKLAMA

REKLAMA

Dziś, jeśli dyrektor teatru chce coś załatwić, robi to z pomocą prywatnych powiązań. Sądzi, że skoro sam potrafi lobbować w swojej sprawie, to inni powinni też sami się o siebie troszczyć.

Taki system działał w latach 70. i 80. I tak samo jak wtedy, duże teatry są dziś prowadzone nie przez reżyserów czy menedżerów, ale przez słynnych aktorów. Władza ich kocha, mają specyficzną aurę wokół siebie. Kiedy aktor przychodzi do ministra, ten niemalże omdlewa z wrażenia i godzi się na wszystko. Cóż, Stalin też kochał aktorów.

Dziś sytuacja z grubsza się ustabilizowała: są teatry prowadzone przez ludzi o odpowiednim nastawieniu ideologicznym, i są sceny, kierowane przez aktorów, po które władza na razie nie sięga. Ale Arpad Schilling, Kornel Mundruczo czy Viktor Bodo, reżyserzy z mojego pokolenia, znani za granicą, nie mają szans pokierowania własnym teatrem.

W pani książce współistnieją dwa rodzaje teatru. Jeden daje artystom i odbiorcom przestrzeń wolności, drugi to teatr polityczny, który jest teatrem władzy. Dziś polityka zagarnia wszystko?

- Mam złą wiadomość dla polityków - sztukę można cenzurować, ale nie można jej zdusić. To się czasem udaje z jedynie z filmem, bo na produkcje potrzeba dużo pieniędzy. Rzeczywiście, margines, w ramach którego sztuka jest w stanie dawać nam wolność, stopniowo się zawęża. Ale ona w tych ciasnych przestrzeniach wciąż istnieje. Artystyczny teatr wciąż działa, choć w mniejszym wymiarze. W Budapeszcie, nawet w teatrach wspieranych przez państwo, wciąż powstają wartościowe spektakle, opowiadające o wolności. Oczywiście, władza żąda coraz większych kawałków kultury dla siebie. Ale dla polityków nie ma znaczenia spektakl, który zobaczy sto osób.

A pisarze?

- Możemy pisać, co chcemy. Chociaż oczywiście za opór płacimy cenę. Od dziesięciu lat nie pojawiłam się w telewizji. To samo zresztą dotyczy szerszego grona pisarzy - są wśród nich Gyorgy Spiro, Krisztina Toth. To, że mogę reprezentować Węgry za granicą, na dużych imprezach, jest efektem pewnego kompromisu. Władze chciałyby, żeby w międzynarodowych targach książki uczestniczyli tylko pisarze o ideologicznie słusznym nastawieniu. Wiadomo, że jest lista nazwisk twórców, którzy nie są akceptowani przez władzę. Jest na niej Toth, jestem ja. Problem w tym, że książki tych, których rząd chciałby promować, nikogo w świecie nie interesują. Więc zwykle jest tak, że jedzie pewna ich grupa i my, na zasadzie kompromisu. System nie jest całkowicie szczelny - można się prześlizgnąć.

REKLAMA

Urodziła się pani i dorastała w Rumunii, w rodzinie o węgierskich korzeniach, mieszka w Budapeszcie. Jeden z polskich tygodników napisał: „rumuńska pisarka”, choć pani powieść „Dom kata” ukazała się w węgierskiej serii Książkowych Klimatów. Jak to jest z pani tożsamością?

- Cieszę się, kiedy mogę sama o niej opowiadać. Uważam, że tak trzeba podchodzić do mniejszości - pytać, dawać prawo do samookreślenia. I korzystając z tego prawa, mówię, że jestem pochodzącą z Siedmiogrodu żyjącą na Węgrzech pisarką. Nie obrażam się, kiedy czytam: „Andrea Tompa, rumuńska pisarka”, chociaż czuję, że to wprowadza pewne zamieszanie.

Ile jest pani w opowieściach z „Domu kata”?

- Cała rama, formalne rozwiązanie to fikcja. Ale same historie mocno bazują na rzeczywistości, nawet te najstraszliwsze. Opowiadam historię mojej rodziny, nie zmieniam nazwisk, dat, faktów. Tak jak dekret 770 dotknął moich bliskich, tak pamiętam czasy, kiedy w restauracjach nie można było dostać niemal nic, więc serwowano gościom smażoną żabę.

© AGENCJA wyborcza.pl

• MIECZYSŁAW MICHALAK

Andrea Tompa na spotkaniu we Wrocławiu, październik 2016

REKLAMA

A wspólnota kobiet, złożona z bohaterki, jej siostry, mamy i babć? Jest prawdziwa?

- Tak. Ta wspólnota jest dla mnie bardzo ważna. Po pierwsze, jestem przedstawicielką mniejszości. A mniejszości mają dużo większą potrzebę przeżycia wspólnotowego. Po drugie, wspólnota kobiet to wypadkowa ludzkich losów w XX wieku. W ubiegłym wieku w rodzinach mężczyźni bywali słabym ogniwem. To zrozumiałe - historia wyciągała ich poza nawias rodziny z powodu wojen, represji, pobytów w więzieniach. I to kobiety brały na siebie odpowiedzialność.

REKLAMA

Doświadczenia naszych matek i babć wpływają na nas, kobiety pozostające w tak bliskich relacjach przekazują sobie doświadczenie ciała, które jest tak ważne dla mojej bohaterki. To w opisywanej przeze mnie wspólnocie kobiet łączą się mniejszość etniczna i mniejszość kobiet. Ta druga dotyczy ucisku, jakiemu one podlegają.

Opisuje pani polityczny przewrót w Rumunii. Nastoletnia bohaterka maszeruje w demonstracji. Słyszy okrzyki „Precz z Ceausescu”, z którymi się utożsamia, ale kiedy inni krzyczą „Precz z komunizmem” jest skonsternowana. Bo przecież była na Węgrzech, tam też był komunizm i nie było tak źle. Czy to kwestia jej naiwnej perspektywy, czy to pani próbuje nam powiedzieć: to nie systemy polityczne są złe, ale ludzie, w których rękach zamieniają się w dyktaturę?

- Historyk John Lukacs powiedział kiedyś, że dyktatura próbuje przekonać nas, że nie ma szans na zmianę. I my żyliśmy w systemie, w którym nie sposób było uwierzyć w zmianę. Ten system utrzymywał naszą świadomość na poziomie dziecka. Jako dzieci nie mogliśmy sobie wyobrazić, że może nadejść inny świat i jaki może być. Wydawało nam się, że jedyne, co możemy zrobić, to przegonić dyktatora, a wtedy wszystko samo się naprawi. Wciąż właściwie nie wiemy, w jaki sposób powstają systemy polityczne. Więc może nasz system jest nadal zły, bo nie jest w stanie wychować odpowiedzialnych dorosłych, którzy myślą i są zdolni do krytycznej oceny. W 1989 roku nie wiedzieliśmy, co się wydarzy. Z dzisiejszej perspektywy może rozumiemy tamten czas nieco lepiej, ale wciąż trudno nam go jednoznacznie ocenić.

REKLAMA

Gdzie szukać dziś nadziei?

- Moje pokolenie, 40-latków mieszkających na Węgrzech, jest depresyjne. Jesteśmy u szczytu możliwości, ale nikt nas w naszej ojczyźnie nie potrzebuje. I to poczucie bycia niepotrzebnym wywołuje w nas depresję.

REKLAMA

Wydaje mi się, że nawet w tej okropnej dyktaturze, w której przyszło mi dorastać, był wąski margines wolności, sprowadzający się do szansy dokonania wyboru. I była granica, za którą zaczynało się odczłowieczenie. A trzeba pamiętać, że człowiek zrozpaczony zachowuje się w sposób niekontrolowany i ryzyko przekroczenia tej granicy w ciężkich czasach jest większe. Starać się pozostać człowiekiem, niezależnie od okoliczności - to daje nadzieję. O tym opowiada świetny węgierski film „Syn Szawła”.

***

Zapowiedzi, recenzje i wywiady z autorami. Booksletter to obowiązkowy przewodnik dla miłośników książek. Zapisz się!